Świat powieściowy.

Nr. 147 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Rajner wypatrzył się na księdza przestraszony, a Keil żywo zawołał:

— Nie księże proboszczu! to być w żaden sposób nie może! Już i tak probostwo przepełnione biednymi, chorymi i kalekami! Ksiądz proboszcz bierze na siebie jeden ciężar po drugim! Nie śmielibyśmy już chyba ze wstydu w oczy ludziom popatrzeć!

— A widzisz, że Rajner ani myśli się wstydzić! — ksiądz ostro przemówił. — Posiada dwa razy tyle ziemi, co ja na probostwie, ale nie ma tam miejsca dla jednego bodaj biedaka! Mnie go oddaje!

— Tego nie uczynię! — Rajner podniósł głowę, z jakiemś silnem postanowieniem. — Eckfried u mnie zostanie i postaram się dla niego o taką robotę, którejby mógł podołać.

Ksiądz podał mu rękę, ale chroń Boże, nie z podziękowaniem, tylko z surową powagą sędziego, który przebacza winowajcy błąd popełniony, przez wzgląd na jego pokorne winy uznanie i chęć szczerą poprawienia się w przyszłości. Wieśniak znalazł ten ruch widocznie całkiem naturalnym, gdyż z czcią najwyższą rękę pasterza ucałował i wraz z swoim towarzyszem cichutko za drzwi się wyniósł. Przedtem skłonili się obydwaj z uszanowaniem głębokiem pani Hertenstein, ukłon atoli nie tyczył się bynajmniej osoby jaśnie wielmożnej pani prezydentowej, tylko był oddany bliskiej krewnej uwielbianego przez nich proboszcza, która wychowała się niemal w jego domu, czem nabyła prawa do ich czci najpowinniejszej.

— Takiemu chłopu zatwardziałemu, trzeba umieć tylko trafić do przekonania i należycie roztrząsnąć sumienie. — Wilmut po wyjściu wieśniaków zauważył — inaczej sobkostwo i namiętne do pieniędzy przywiązanie, stłumiłoby w nich wszelkie poczucie miłosierdzia i powinności względem bliźniego. Przerwali nam przedtem rozmowę i dotąd nie odpowiedziałaś mi Anno na pytanie: Dla czego, będąc dziś w mieście, nie wstąpiłaś do adwokata, który jest przecież twoim prawnym zastępcą, mógłby cię zatem lepiej poinformować co do kwestji spornej, o której odemnie dowiedzieć się chciałaś?

Anna ociągała się z odpowiedzią, jakby słów stosownych szukała. Wilmut zauważył jej pomięszanie.

— Czy zaszło coś takiego między wami, z czem pragniesz ukryć się przedemną? — brwi zmarszczył groźnie.

— Nie Jerzy, nie myślę zachować tego w tajemnicy, gdyż prędzej czy później, musiałbyś się o tem dowiedzieć — pani Hertenstein odrzuciła tonem najspokojniejszym. — Wczoraj spotkała mnię ze strony Freisinga nader niemiła niespodzianka, a chociaż rozstaliśmy się jak najlepiej i myślę iż żalu do mnie mieć nie będzie, przeciwnie, zostanie i nadal moim przyjacielem i doradcą, potem jednak co zaszło, nie mogłam pierwsza narzucać mu się niejako, i poczekam, aż on z dobrej woli odwidzi mnię znowu kiedy w Rosenberg.

— Czyli: mówiąc bez ogródek, oświadczył ci się, a tyś deklaracji nie przyjęła?

— Naturalnie!

— Dawno się czegoś podobnego spodziewałem — Wilmut ściągnął pogardliwie ramionami. — Stary głupiec! Czy myślał, że w twojem przykrem położeniu uchwycisz z wdzięcznością jego ramię, aby mieć punkt oparcia i zapewniony jaki taki byt materjalny; czy wyobraził sobie na prawdę, iż mogłabyś powziąć dla niego żywszą sympatję?!

— Tego nie wiem... pomylił się jednak, cokolwiek bądź przypuszczał. Pojmiesz atoli, iż dziś nie wypadało mi być u niego.

— Nie! Napiszę w twojem imieniu, żądając w tej sprawie wyjaśnienia. A więc Freising był wczoraj w Rosenberg? Miałaś jeszcze drugą wizytę... Pawła Werdenfels?

— Wiesz o tem? — Anna podniosła na niego wzrok zdziwiony.

— Przypadkiem!... Mniejsza o to!... kazałaś, ma się rozumieć, barona przeprosić i wcaleś go nie przyjęła?

— Przeciwnie... mówiłam z nim bardzo długo...

Wilmut postąpił ku niej żywo, z groźbą na czole ponuro zmarszczonem, z błyskawicą gniewu we wzroku palącym.

— Co się to znaczy? Jak mogłaś przyjąć tego człowieka? Czyżeś zapomniała, że mieszka w Felseneck?

— Unosisz się całkiem niepotrzebnie — Anna zauważyła ironicznie. — Pierwszy raz był w Rosenberg...

i prawdopodobnie po raz ostatni! Musiałam się z nim widzieć, aby rozwiać pewne ułudy... pewne marzenia... Rzeczy zaszły dalej, niż się spodziewałam... i on mi rękę wraz z sercem ofiarował...

Wilmut roześmiał się ostro i drwiąco.

— A więc i ten także! Trudno ci będzie wytrwać w twojem wdowieństwie! Zaledwie skończyłaś rok żałoby, dwóch naraz konkurentów szturm do serca twojego przypuszcza i obydwóch twoje „nie“ rani do głębi!

— Czyż w tem moja wina? — spytała Anna z gorzkim wyrzutem.

— Nie, takim jest twój los! A los to wcale nie do pozazdroszczenia, jeżeli jest kobiety przeznaczeniem, zatruwać życie każdemu mężczyźnie, który ośmieli się zbliżyć do niej, zamiast iżby miała być tegoż życia osłodą i ozdobą!

Słowa brzmiały dziwną goryczą, a wzrok, którym przeszył młodą kobietę, prawie nienawiść wyrażał. Anna zamilkła. I dziś jeszcze schylała głowę w pokorze, przed karcącym ją surowo nauczycielem, który ojca niemal zastępywał i nieprzestawał nigdy napominać, iż piękność urocza, dana jej przez naturę, była darem niebezpiecznym, a nawet złowrogim!

Burza podczas tej rozmowy szalała w najlepsze. Wicher wstrząsał cienkiemi ścianami probostwa, strącając od czasu do czasu śnieg na dachu grubą warstwą leżący. W ogrodzie trzeszczały i łamały się drzew gałęzie, któremi wiatr po ziemi wywijał, a drzwi wchodowe, dotąd nie zamknięte przez sług niedbalstwo, zatrzasnęły się same z łoskotem przeraźliwym.

— Ależ to orkan prawdziwy! — rzekł proboszcz. — Nie możesz przecie w taki czas wyjeżdżać! Poczekaj z godzinę, może burza nadstanie.

— Lękam się, iż przez noc całą, będzie tak samo dąć i huczeć! — Anna głową potrząsła zaniepokojona.

Ściemniać się tymczasem zaczęło i weszła księdza gospodyni, kobieta niemłoda, ale jeszcze rześka i ruchliwa, z lampą płonącą w ręku. Twarz jej zwykle apatyczna i dobrodusznie uśmiechnięta, dziś zmieniona i wystraszona, zapowiadała jakieś nadzwyczajne wydarzenie.

— Księże proboszczu! — wyjąkała z trudnością, jakby jej tchu brakowało. — Stało się coś niezwykłego!... wieś cała tem tylko zajęta!... Nie wierzyłam zrazu... ale przyjechał! istotnie przyjechał!... za wiele ócz go widziało!

— Kogoż widzieli?! — krzyknął ksiądz zniecierpliwiony.

— Tego!... z Felseneck! Siedział w powozie otwartym, a obok niego młody baron Werdenfels!

Anna wpatrzyła się w mówiącą przenikliwie, a cała jej fizjonomja zdradzała oczekiwanię, pełne trwogi i niepokoju. Wilmut zaś spojrzał na gospodynię wzrokiem litościwym, jak na kogoś zdrowych zmysłów pozbawionego.

— Co znowu tym ludziom do głowy strzeliło? Czy już teraz w dzień biały widma i duchy im się przywidują?

— Ależ to prawda najświętsza! — gospodyni uroczyście zaręczyła. — Ot, proszę tylko spojrzeć na zamek! Całe jedno skrzydło rzęsiście oświetlone, po raz pierwszy od śmierci starego pana barona, a wczoraj jeszcze przybyła część służby z końmi i powozami. Teraz już nie tajno nikomu!... baron Rajmund zjechał do Werdenfels!

Anna na szczęście w cieniu pod oknem siedziała, nikt zatem nie widział, jak krew falą ognistą do głowy jej uderzyła i jak tchu nie mogąc złapać w pierś ściśniętą, szepnęła cichutko:

— A więc jednak...

Wilmut nie zwracał na nią uwagi chwilowo. I w niego wiadomość uderzyła niby piorun z jasnego nieba. Skoczył do drugiego okna, skąd widać było doskonale górę i front zamku. Mimo znacznej odległości, biała łuna od okien w tych właśnie pokojach, w których baron Rajmund mieszkał za życia ojca.

Gospodyni chciała właśnie rozpowiedzieć długo i szeroko, co się we wsi dzieje, gdy proboszcz wpadł jej w słowo i nie dając dokończyć, rozkazał ze zwykłą sobie energją:

— Powie Schultzowa woźnicy pani prezydentowej, żeby zatrzymał się z zaprzęganiem, póki burza trochę się nie uspokoi... Co do tej wiadomości, zobaczymy jutro, czy się okaże prawdziwą.

Gospodyni niechętnie bardzo, bo język świerzbiał ją okrutnie, w tej chwili jednak wyszła z pokoju. Głucha cisza teraz zapanowała. Anna nie mogła ócz oderwać od okien rzęsiście oświetlonych, Wilmut zaś chodził po pokoju krokiem nerwowym, przyspieszonym, jak lew w klatce podrażniony. Stanął wreszcie przed Anną i spytał ostro:

— Czy przypuszczasz coś podobnego, żeby baron istotnie zjeżdżał do Werdenfels?! Po sześciu latach, zerwawszy wszelkie ze światem stosunki... czegożby tutaj szukał?

— Może właśnie owych ludzi — Anna bąknęła — od których zdawał się lat tyle uciekać...

— No! to zupełnie do niego podobne! Był zawsze chorobliwym marzycielem, który umiał tylko iść za popędem chwilowej fantazji i kaprysu. Może doprawdy sprzykrzyła mu się samotność w Felseneck i chce dla odmiany zabawić się w pana na Werdenfelsie!

— Jerzy! nie bądź-że w tak wysokim stopniu niesprawiedliwym! — młoda kobieta zaprotestowała głosem drżącym, mimo wysiłku nadludzkiego, aby wzruszenie opanować. — Wiesz dobrze, iż nie żaden kaprys przelotny, zapędził go w ponure i samotne mury Felsenecku, ale to uprzedzenie, ta nienawiść ogólna, oddawna między ludem wiejskim zakorzeniona przeciw niemu, a którą tyś jeszcze całym twoim wpływem podniecał!

— Powiedz raczej, iż do tego kroku rozpaczliwego

skłonił go twój ślub z prezydentem! To było dla niego ciosem śmiertelnym, i wtedy...

Zapukanie do drzwi przerwało wątek rozmowy. Na głośne „proszę!“ Wilmuta, wszedł stary Eckfried. Włos siwy wicher mu rozwiał na wszystkie strony; był prawie omdlewający i zaledwie zdołał wyszeptać słowo powitania.

— Skądże to was Bóg prowadzi Eckfriedzie? — ksiądz spojrzał na laskę okutą. — Czy z gór wracacie?

— Tak księże proboszczu i nie ja jeden z gór spadłem! — odrzekł starzec głucho, z błyskiem złowrogim w zamarłych przez pół źrenicach. — Jeszcze kogoś burza nam przyniosła!... Ten z Felseneck... zjawił się znowu!

Ksiądz brwi zmarszczył.

— A zatem wieść się potwierdza? — spytał. — Dotąd jeszcze temu wierzyć nie chciałem!

— On to był! on w własnej osobie! Moim oczom można zaufać! Przeleciał tuż koło mnie, jak zły duch jaki, wśród wichru i śnieżnej zamieci, którą zamówił sobie u „Dziewicy z lodu!“ Strzeżmy się księże proboszczu! On na darmo nie zjechał do Werdenfels! Zanim w tropy spadnie na nas jakieś wielkie nieszczęście!

— Siądźcie no tymczasem — ksiądz wskazał ręką na stołek przy drzwiach, pomijając milczeniem proroctwo starca. — Nie możecie tchu złapać z wielkiego znużenia. Gdy cokolwiek odpoczniecie, dowiem się, z czem właściwie przyszliście do mnie.

Starzec upadł z jękiem na krzesło i przymknął oczy, jakby mu istotnie słabo się zrobiło; Anna skoczyła ku niemu.

— Bóg z wami Eckfriedzie! Cóż wam się stało?! Może by wam się dać napić czego na wzmocnienie?

Potrząsł smętnie głową.

— To przejdzie... jak przyszło łaskawa pani! Niech tylko chwilkę odpocznę. Taka droga daleka!... i ta ciężka, ciężka zgryzota!...

— Byliście pewno u córki? Ależ niemożecie z nogą kulawą tak często drapać się po górach!

— Nie będę tam już chodził! — rzekł głosem drżącym, z ustami z bolu drgającemi. — Może raz jeszcze... na pogrzeb... Moja Lota... dogorywa!

— Obawiałam się tego! — Annie łzy w oczach się zakręciły i spojrzała na ojca biednego z rzewnem współczuciem. — Gdy odwidzaliśmy z proboszczem córkę waszą, widziałam, że godziny jej policzone!... Prosiłam jednak usilnie naszego lekarza, żeby był jeszcze u niej... Czy nie dotrzymał słowa danego?

— Był! był dziś rano... i on to właśnie mi powiedział, że... że chora ledwie noc przeżyje!

Głos starca złamał się łkaniem gwałtownem. Anna szukała po głowie słów pociechy i ukojenia, gdy Wilmut się odezwał:

— Tej więc nocy umrzeć może?!... Czy chora została opatrzoną przenajświętszemi Sakramentami?

— Właśnie z tem przyszedłem! — westchnął Eckfried. — Felseneck należy wprawdzie do parafji w Hochdorf, ale tam proboszcz sam chory obłożnie, a wikarego nie ma wcale. Moja biedna Lota zresztą, była aż do dnia ślubu, księdza proboszcza penitentką. Zaklinała mnię na wszystko, żeby nikt inny na śmierć jej nie przygotowywał, żebym koniecznie księdza proboszcza do niej sprowadził! Wiem, że byłbym tę łaskę otrzymał, mimo drogi dalekiej i uciążliwej, ale tymczasem burza się zerwała i teraz wszystko przepadło!

Załamał ręce rozpaczliwie, a w tej chwili, jakby na słów jego potwierdzenie, wicher zawył przeraźliwie, wstrząsając domem w posadach, i śnieg w okna uderzył z całej siły, że aż szyby zadźwięczały. Ksiądz nic nie odpowiedział, tylko zwolna ku oknu postąpił. Na dworze noc czarna zapadła. Nic się o krok nie widziało, ale za to tem straszliwiej o słuch uderzał huk i łomot burzy w ciemności szalejącej. Proboszcz znał się dobrze z podobnem zjawiskiem przerażającem w dolinie, a cóż dopiero w górach! Tam co krok, w taką burzę, było się życia niepewnym. Milczał jednak bardzo krótko i rzekł wreszcie, zwracając się do Eckfrieda, tonem stanowczym i najspokojniejszym:

— Jadę do niej... natychmiast!...

— Jerzy! Przez miłosierdzie Boże! — krzyknęła Anna przestraszona. — Jakże możesz w taką noc czarną, w taką burzę, puszczać się w góry! Zaczekaj do jutra.

— A nuż by było zapóźno! Słyszałaś wyrok lekarza! Czy bodaj do leśniczówki dojadę sankami Eckfriedzie? Wszak ztamtąd wracasz?

— Do leśniczówki dojedzie... ale dalej trzeba iść pieszo... Ja wprawdzie szedłem tamtędy nie dawno, ale w dzień i nie w taką burzę straszliwą. Wielmożna pani słusznie mówi... ksiądz proboszcz życie by niemal ryzykował!...

— A życie twoje do całej parafji należy! — perswadowała Anna. — Pomyśl o twojem wielkiem posłannictwie, pomyśl jak wielu twojej pomocy potrzebuje i nie narażaj się na śmierć tam, gdzie i tak już wszystko się kończy, gdzie duszy ulatującej nie zatrzymasz.

Wyprostował się i spojrzał na nią z góry.

— Tu jej nie zatrzymam... ale czemże ten nędzny żywot ziemski, w obec szczęśliwej wieczności! Zresztą ksiądz iść musi, skoro jest wezwany. Ratować dusze umierających od rozpaczy, od zwątpienia w strasznej chwili agonji, to nasz najpierwszy i najświętszy obowiązek. Zły to pasterz, który waha się z oddaniem życia za owieczkę swoją. Jestem w ręku Pana nad Pany! Włos mi z głowy bez woli Jego nie spadnie! Córka twoja Eckfriedzie nie umrze bez słowa pociechy, bez świętych Sakramentów!

Drzwi otworzył, wołając głosem donośnym gospodynię.

— Jasiek niech w tej chwili do małych saneczek „huculą“ zaprzęże. Ambrożemu powiedzieć, żeby mi stułę i komżę zapakował. Idę do kościoła, po puszkę z Wiatykiem i Olejem Świętym.

— Rany Chrystusowe! — Schultzowa za głowę się

chwyciła. — Przecież ksiądz proboszcz nie wyjedzie pod noc w taką burzę!...

— Śmierć nie czeka! — ksiądz groźnie ręką skinął. — Spieszcie się! nie ma chwili do stracenia!

Podał rękę pani Hertenstein.

— Żegnaj mi Anno! może na zawsze!...

Anna spojrzała mu w oczy z przestrachem, ale i z czcią najwyższą.

— Więc iść musisz Jerzy?

— Muszę!... Lota wiedziała, że ojciec duchowny nie opuści dawnej swej owieczki w chwili ostatniej!...

Eckfried powstał, a złożywszy ręce jak do modlitwy, mówił głosem, łkaniem przerywanym:

— Księże proboszczu, do ostatniego tchnienia mojego tej łaski niezapomnę!... I całe Werdenfels o tem będzie pamiętało!... Bóg spojrzy z nieba wysokiego i zachowa nam życie naszego pasterza..... bo drugiego takiego, już byśmy jak świat długi i szeroki, nie znaleźli!...

W kwadrans później, ksiądz Jerzy jechał sam jeden do leśniczówki, z wielkim naftowym kagańcem, do sanek przytwiedzonym. Konik z górami oswojony, drapał się śmiało i raźno Do leśniczówki, po drodze utartej i szerokiej, szło jeszcze jako tako. Tu atoli trzeba było sanki zostawić i piąć się po stromej, wąskiej ścieżynce, nad przepaściami bezdennemi, wśród ryku burzy, wśród łomotu gałęzi spadających, w niebezpieczeństwie życia na każdym kroku!

W noc tak straszliwą, nawet zwierz drapieżnik w norze schowany, żeru by nie szukał, choćby jak mu głód dokuczył.

Księdza atoli żądano i ksiądz poszedł! Nie bacząc na życie własne, spełniał kapłańską powinność. Był to szermierz nieustraszony, tak w walce z naturą rozszalałą, jak i w poskramianiu burz, sercem jego własnem miotających. Do doskonałości brakowało jedynie temu słudze Bożemu korony cnót wszystkich... miłości i miłosierdzia!

XI.

Nie tylko Werdenfels, ale i cała okolica była w poruszeniu, gdy przesiedlenie się barona Rajmunda z Felseneck do odwiecznej praojców siedziby, stało się faktem dokonanym. Przez służbę, która jednak utrzymywała z wieśniakami pewne stosunki, dowiedzieli się wszyscy, iż ordynat w niczem trybu życia nie zmienił. Tak samo jak w Felseneck pokojów swoich nie opuszczał, nikogo obcego nie widując, nawet z bratankiem zaledwie godzinę na dzień przestawał. We wsi nikt go więcej nie spotykał od owego wieczora, kiedy przesunął im się przed oczy, niby widmo piekielne, na skrzydłach burzy niesione. Ta jednak okoliczność, związana z jego osobistością, od lat tylu niewidzianą, podnieciła na nowo pogłoski i bajki bezsensne, o nim obiegające.

Orkan był siły nadzwyczajnej, zrządził też nie mało szkody w dolinie, a jednocześnie zjawił się znienawidzony przez nich ordynat. Nie mógł wybrać się w chwilę bardziej złowrogą. Wszelkie nieszczęście, które burza sprawiła, lud okoliczny przypisał baronowi Rajmundowi.

Nadeszła niedziela, przynosząc w pogodzie zmianę pożądaną. Niebo się wreszcie wyjaśniło, a słońce chociaż jeszcze nie grzało, rozweselało jednak serca i umysły, ciskając na ziemię złotemi promieniami. Nabożeństwo tylko co się było skończyło, a cała gromada w grupach po kilka osób, radziła głośno na dużym czworoboku przed kościołem parafialnym w Werdenfels. Na porządku dziennym była sprawa ważna niesłychanie przyjazdu ordynata i czyn bohaterski ich proboszcza.

Na dwadzieścia mil w około rozeszła się fama stugębna, o podróży księdza Wilmuta, w noc czarną jak piekła czeluście, wśród ryku burzy, po ścieżce stromej, śliskiej, aby konającej Mattowej udzielić świętych Sakramentów i pokrzepić słowem pociechy na drogę wieczności. Żaden z górali najśmielszych, byłby się tej nocy nie puścił w tę stronę. Nie dziw, iż odtąd czcili niemal jak świętego duszpasterza, który ani chwili się nie zawahał, w obec tak groźnego niebezpieczeństwa!

Pani Hertenstein z siostrą i panną Hofer, wyszła po Mszy z kościoła, udając się jak zwykle na probostwo. U drzwi spotkała starego Eckfrieda w stroju odświętnym, który co prawda był bardzo nędzny i zszarzany, a za rączkę prowadził tym razem dziecko czteroletnie, ładnego chłopaka z jasnym włosem, zwijającym się w naturalne drobne loczki i pukielki, z buzią pełną i rumianą, z oczkami niebieskiemi, patrzącemi śmiało na Annę i drugie dwie panie, bez żadnej dzikości, dzieciom wiejskim wrodzonej.

— Wzięliście więc małego Toni do siebie? — spytała starca. — Nadzwyczaj nieboszczkę matkę przypomina.

— Jeszcze podobniejszy do wuja swego, i jego też imię nosi... — Eckfried wpatrzył się w dziecko wzrokiem smętnym i ponurym. — Jakby był synem rodzonym mojego Toni najdroższego!

— I chcecie istotnie sami malca wychowywać? — pani Hertenstein spojrzała okiem łzawem na biednego sierotkę.

Starzec skinął głową.

— Nie mogę inaczej, wielmożna pani. Ksiądz proboszcz, co prawda, łajał mnie już, że wziąłem ciężar nad siły... ale cóż robić?!...

Urwał nagle, zdejmując czemprędzej czapkę z głowy, bo właśnie ksiądz Wilmut wyszedł z zakrystji, zdjąwszy z siebie mszalne ubranie. Teraz można było zauważyć, jak wybitne stanowisko proboszcz w swojej parafji zajmował. Monarchę samego nie mogliby witać z większemi oznakami czci najgłębszej i przywiązania bez granic i miary! Kto żyw, cisnął się do ręki księdza, szczęśliwy nad wyraz, jeżeli mu wolno było ją ucałować w pokorze, jeżeli usłyszał od swojego pasterza słówko łaskawe.

Dziś Eckfried pierwszy był tym od losu wybranym! Proboszcz zbliżył się do niego, skoro go z chłopaczkiem ujrzał zdaleka.

— Upieracie się zatem trzymać dziecko przy sobie?...— przemówił. — Kłopot niepotrzebny bierzecie sobie na głowę. Sami zaledwie na kęs chleba zarabiacie.

— Bóg mi świadkiem, księże proboszczu, że muszę tak uczynić! Wiedzą przecież wszyscy, jak rzeczy stoją z moim zięciem. No! był zawsze ladaco, i moja biedna Lota miała z nim krzyż Pański! a podczas jej choroby, zeszedł całkiem na dziady! Grunt i całe obejście zlicytują mu temi dniami, a on sam myśli powędrować do Ameryki. Dzieciak byłby mu w drodze ciężarem, a jak się tam drugi raz ożeni, toć by biedactwo do reszty zmarnowali! Gdzie mnie przytulą, tam i mojemu sierotce łyżki strawy nie pożałują!... Zresztą, prócz niego, nic mi więcej nie zostało na szerokim świecie.

Głos starca drżał łzami stłumionemi, a ręka jego, gruba i zapracowana, dziwnie lekko i pieszczotliwie przesuwała się po złotych dziecka kędziorkach.

I proboszcz spojrzał na chłopca, ale wzrokiem zimnym, przeszywającym, bez iskry litości nad jego sieroctwem.

— Przynajmniej weźcie chłopca dobrze w ryzy! — odezwał się ostro jak zwykle. — Od ojca nie nauczył się niczego poczciwego, a matka rozpuszczała jedynaka najokropniej! Nie grzeszcież wy przynajmniej Eckfriedzie, taką głupią słabością! Dzieci muszą być trzymane dłonią żelazną, w karności i posłuchu, jeżeli mają z nich wyróść ludzie porządni i pożyteczni. Nie zapominajcież o tem!...

Chłopczyna odczuł zapewne instynktem wrodzonym, iż w słowach księdza nie mieści się nic przyjemnego i pomyślnego, bo wytrzeszczywszy oczęta, przytulił się mocniej do dziadka, z widocznym przestrachem.

Wilmut pogadawszy jeszcze na cmentarzu z kilkoma gospodarzami o tem i o owem, odprowadził trzy panie do drzwi probostwa.

— Rozgość się Anno jak u siebie — rzekł na progu stanąwszy — nie jesteś przecie obcą w moim domu. Muszę pożegnać cię na godzinę, gdyż mam chorego we młynie, a to jak wiesz, kawał drogi. Gdybym się spóźnił, jedzcie same, a dla mnie objad schowajcie.

Anna oświadczyła, iż w każdym razie zaczekają na gospodarza, Lily zaś obrachowując, iż objad może się niezwykle przeciągnąć, poprosiła cichutko o pozwolenie małej przez wieś przechadzki, aby użyć świeżego powietrza.

— Masz go dość w ogrodzie! — Wilmut szorstko odrzucił. — Już ci raz powiedziałem, żeś przestała być dzieckiem, a dla młodej panienki, włóczęga po wsi, jest rzeczą nieprzyzwoitą!

Lily oniemiała z przerażenia. Cóż się stanie z biednym baronem, który tam już pewno czeka na nią z utęsknieniem?... Na szczęście wdała się siostra w tę sprawę, udzielając pozwolenia upragnionego, mimo groźnego marsa na czole Wilmuta.

Jak ptak z klatki wypuszczony, frunęła Lily prosto pod górę zamkową. Była co prawda w wielkim kłopocie, bo misja zupełnie jej się nie powiodła.

Anna, zamiast dać się zmiękczyć jej wywodem tak przekonywającym, tak pełnym zapału i namaszczenia, złajała porządnie biedną orędowniczkę, że wdaje się nie w swoje rzeczy, że rozmawiając z Pawłem postąpiła jak dzieciak nierozsądny, że wreszcie nic a nic się na podobnych sprawach nie rozumie. Lily połknęła po raz drugi gorżką pigułkę, tym razem z prawdziwą rozpaczą, iż siostra okazała się tak nieprzystępną, tak nieubłaganą, skoro usłyszała nieszczęsne nazwisko Werdenfelsów!

Umyśliła jednak chwilowo ukryć część prawdy przed Pawłem. Bóg jej tego za grzech nie poczyta, bo tym tylko sposobem może uratować życie człowieka tak młodego, przystojnego i dystyngowanego w dodatku! Że przyzwoliła na schadzkę sam na sam, i w tem przecież winy niema! Wszak nie idzie tu o nią bynajmniej, występuje li jako siostra miłosierdzia, lecząca chorego na duszy, jeżeli nie na ciele.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pożyczana mama.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

III.

KATASTROFA.

Jesień, niezwykle piękna, na całym niemal kontynencie, zachęciła wybrańców losu, którym ani czasu ani pieniędzy nie zabrakło, do przedłużenia pobytu u wód zagranicznych. I nasza dobra znajoma, hrabina Laura, dopiero pierwszych dni października wróciła z kąpiel morskich w Ostendzie, i nie zatrzymując się wcale w Krakowie, gdzie tymczasem wierny i poczciwy Mateusz miał sobie zlecone, wszystko do należytego porządku przyprowadzić, powozem najętym, dla tem większej niespodzianki, do syna stęsknionego na wieś pospieszyła.

Skoro minęły pierwsze uniesienia radości, nieodzowne po dłuższem rozłączeniu z osobą szczerze ukochaną, hrabina usiadłszy po objedzie przed domem, na ganku oszklonym, a z przodu ślicznie przyozdobionym festonami wina dzikiego, mieniącego się obecnie złotem i purpurą, przemówiła z pewnem wahaniem:

— Nie uwierzysz Waciu, w jakim jestem kłopocie!... Lękam się, iż zamiast pociechy, wsypiesz mi burę porządną, na co Bogiem a prawdą, w zupełności zasłużyłam! Cóż jednak robić! Trzeba się przyznać, bo i tak prędzej czy później, dowiedzieć się musisz...

— Oho! — syn strzepnął palcami — domyślam się po długim wstępie o co idzie, i wietrzę w powietrzu nową siostrunię przybraną. Czyż wiecznie będziesz droga mateczko kozłem ofiarnym i nigdy po trudach nie odpoczniesz?! Tak się zarzekałaś po figlu, który ci hrabianka Ida wypłatała, że już nigdy w życiu panien obcych nie weźniesz do domu...

— Tak, tak! i nawet w tym sensie raz pierwszy z Ostendy Fruzi odpisałam... Może pamiętasz z twoich lat dziecięcych, moją drogą koleżankę Fruzię, która ci szyła takich ślicznych Polusów w kontuszach, kominiarzów i Szwabów brzuchatych! Był to jej talent specjalny. Uboga, stara panna, już wcale o zamążpójściu nie myślała, gdy na jej nieszczęście przed rokiem sześćdziesiątym trzecim, spadła na nią sukcesja niespodziewanie. Trzeba ci wiedzieć, że było to serce najlepsze, ale głowa trochę egzaltowana. Podczas powstania, jak prawdziwa siostra miłosierdzia, rannych to tu to tam pielęgnowała, przyczem tak ją potrafił usidlić jakiś Koroniarz, furfant i blagier niesłychany, iż mimo perswazji osób jej przychylnych, popełniła istne szaleństwo i wyszła za młodzika, który mógł być jej synem nieledwie. Stało się, ma się rozumieć, co się stać musiało! Młodzik, obtraciwszy ją najokropniej, świsnął gdzieś w świat szeroki, a ona została z trzechletnią córeczką Helą (jak ją matka nazywa,) i z malutkim w górach sanockich folwareczkiem. Otóż Hela ma dziś lat siedemnaście, i matka chce mi ją oddać pod opiekę. Napisała list drugi, tak błagający...

— Że, jak zwykle, moja mateczka niby wosk zmiękła... Jabym jednak prosić się ośmielił, żeby odmówić powtórnie.

— Za późno!... Pojutrze będzie w Krakowie... Żeby była przynajmniej *présentable*!

— Ha! ha! ha! — wybuchnął śmiechem Wacław — w takim razie wszystko przepadło! Przygotujmy się, że tym razem sławną: „wysprzedaż hrabiny Laury“ będzie reprezentowała górska, dzika koza, jakieś dziewczę czarne, niezgrabne, zamurdzane, spalone od słońca i wiatrów, jednem słowem: natura, w całej swojej naiwnej prostocie!

— Oj ty! ty! pustaku niegodziwy! Musia! ukąś go za to, a dobrze! Otóż tak źle nie będzie! Najprzód: odziedziczyła — jak matka pisze — po Fruzi, śliczne, złote włosy, jedyną poczciwiny ozdobę, więc nie jest czarną cyganką... powtóre: dzięki hrabinie F., matce chrzestnej Heli, odebrała nader staranne wychowanie w klasztorze...

— Ach! Te klasztorne wychowanki! Mieliśmy przykład na Tereni, jakie z naszych polskich dziewcząt, klasztory robią sztywne, zmanierowane francuskie laleczki!

— Pozwólże mi dokończyć. Nie była u Sercanek, tylko u Wizytek, tu w Krakowie. Zresztą... zobaczymy!...

— Tak, zobaczymy... ale gdy już będzie za późno, aby się módz wycofać! — syn smętnie głową pokiwał.

— Co mnie jedno pociesza — dodała po chwili milczenia hrabina — to że o los Heli, tak się dalece turbować nie potrzebuję. Matka mi donosi między innemi, że ma wszelkie egzamina nauczycielskie, chciała by tylko, żeby wprzód użyła trochę swobody, po latach ciężkiej nauki, zanim weźmie na ramiona jeszcze cięższe obowiązki uczenia drugich. Gdyby, ma się rozumieć, trafił jej się tymczasem człowiek uczciwy, uważała by to matka za istną łaskę Opatrzności. Dzięki mięszaninie obecnej, która zapanowała w naszych towarzystwach, może i ułowię kogo dla Heli. Ona przebierać nie może. To nie księżniczka Teresa, ani hrabianka Ida! Ot! taki Skólski, to była jak raz partja dla Heli!

— „Dziwnie się plecie, na tym tu świecie!“ — zadeklamował syn z komicznym patosem. — Niech cię to mateczko pocieszy, że profesorowa czuje się szczęśliwszą, niż nie jedna monarchini na stopniach tronu. Bo czyż dla kobiety z sercem, może być szczyt wyższy nad pożycie z człowiekiem, kochającym szczerze i nawzajem nad wszystko ukochanym?!

— Nie pamiętam doprawdy, czym kiedy była w większym strachu, niż dzisiaj! — szeptała hrabina Laura sama do siebie, siedząc na sofeczce w swoim eleganckim, niebieskim budoarze. Syn z rana ją odwiózł i napowrót na wieś powrócił, obiecawszy zjawić się za dni kilka, aby gościa nowego oglądnąć. Właśnie wyprawiła wieczorem Mateusza z powozem na kolej po Helę, dnia tego spodziewaną i z sercem gwałtownie bijącem oczekiwała jej lada chwila.

Zaturkotało na dziedzińcu przed pałacykiem i hrabina zerwała się z siedzenia, z najsłodszym uśmiechem i z ramionami otwartemi spiesząc naprzeciw nieznajomej, której przybycia tak się okropnie lękała. Nie było to jednak u niej obłudą ani udawaniem. Obłuda będzie grzeczną, nie potrafi atoli nigdy udać serdeczności. Są natury wybrane, od których, jak od słońca, bije wiecznie jasność i ciepło serdeczne; są znowu inne, nieszczęśliwe, mrożące wszystko i wszystkich, ponure i niedostępne, działające ujemnie na całe otoczenie, niby wieczna chmura gradowa, mimo, iż rade by się zdobyć na uprzejmość.

Hrabina należała do owych istot jasnych, promienistych, przycisnęła też córkę przyjaciółki do łona, z niekłamaną łzą w oku, z powitaniem tak serdecznem, iż od razu młodą dziewczkę do siebie przywiązała.

— Dzięki Bogu! — pomyślała w duchu hrabina. — Piękna co się zowie i ze szykiem dziewczyna! — Głośno zaś dodała: — Twoja główka, dziecię drogie, mogłaby rozjaśnić widnokrąg w dzień najchmurniejszy, tyle na niej słońca promieni! Włosy prześliczne, całkiem jak mojej drogiej Fruzi! Ale skąd wzięłaś te duże, czarne oczy, świecące jak djamenty? Fruzia ma oczy jasne.

— Mój ojciec — Hela cicho odrzekła, wzrok smętnie ku ziemi spuszczając — był brunetem, jak mi mama wspominała.

— I cóż mateczko? — wpadł Wacław w kilka dni później, w niedzielę przedpołudniem, do hrabiny Laury

budoaru. — Jakżeś zadowolona z twojej nowej pupilki?

— Nie wiem doprawdy, jaką dać ci odpowiedź synu kochany! — hrabina się zawahała. — Gdyby była mężczyzną, powiedziałabym: „Chwat chłopiec! da sobie radę w świecie i zrobi karjerę, chociaż nie ma majątku!“

— A więc kozak panna, jak naprzód przepowiadałem, przyzwyczajona uganiać po polach oklep na hucułku, mówiąca głośno, a śmiejąca się na całe gardło... padam do nóżek!

— Gdzieżtam! Cicha i łagodna jak baranek!

— No, zatem wychowanie klasztorne... minka niewiniątka, oczka spuszczone na ostatni guzik, rączki w pierożek, odpowiedzi: „tak“ lub „nie“!... Znamy się na tem! Typ wstrętny! Dla mnie przynajmniej!

— I to nie! Postawa wspaniała, wzrost Tereni, a wzięcie i układ cały Idy.

— Jednem słowem, dama salonowa z manierami nieskazitelnemi, patrząca z góry na śmiertelników, dumna i nieprzystępna! Mamy takich dzięki Bogu na tuziny w naszych kółkach arystokratycznych. Wolałbym już niemal wieśniaczkę, trochę dziką i nieokiełzaną. Te laleczki marcepanowe, djabelnie mi się przejadły!

— Dajże pokój! Właśnie jest w niej, jak mówi poeta: „Powaga królowej, a niewinność dziecka!“ Swobodna, naiwna, najmilsza w świecie!

— Jakież więc wady, tak cię w niej niepokoją, mateczko najdroższa?

— To całe nieszczęście, żem dotąd żadnych nie odkryła, i tem czuję się przerażona! Prześliczna, ułożenie królewnej, głos cudowny, talent muzykalny rozwinięty w wysokim stopniu, wykształcenie ogólne, czyż to nie zawiele, sam powiedz, dla ubogiej szlachcianki? Mężczyzna przeciętny, zlęknie się takiej doskonałości, będzie uciekał zdaleka, aby go światło od niej bijące, zbytecznie nie olśniło. Feniksów zaś jakże mało pomiędzy wami! Czyż to zresztą żona dla chudo - pachołka? czy można sobie wyobrazić, tę postać iście królewską, z fartuchem przy kuchni, lub nad balją z brudną bielizną?

— Miejmy nadzieję, iż złowi sobie coś lepszego, którego z naszych paniczów zblazowanych! Ot! powrócił książe Artur S., świat cały objechawszy, znudzony i zdenerwowany więcej niż kiedykolwiek. Może go zachwyci ta cudna, górska różyczka! Ale gdzież ten ósmy cud świata, abym mógł przed nim czołem uderzyć?

— Dziś jej nie poznasz, chyba że zostaniesz na noc u mnie. W kościele spotkała się z dawną koleżanką z klasztoru, żoną urzędnika od kolei. Porwała mi Helę na jakąś wycieczkę do Krzeszowic, ostatnią zapewne w tym roku. Chętnie pozwoliłam. O pani Marji słyszałam wszystko najlepsze, choć jej nie znam osobiście, a w tej sferze może Hela prędzej zrobić korzystną znajomość, niż w naszem kółku.

— Dziś mateczko droga zostać nie mogę. Po objedzie jedziemy wszyscy do Julka, gdzie zanosi się na wielkie polowanie. Dziki, kozły, a kto wie czy i niedźwiedź dobrodziej się nie pojawi. Na później zatem muszę odłożyć przyjemność poznania gościa twojego. Eh! co prawda, lepiej by nam było stokroć we dwójkę mateczko! Że też ty na każdą zimę, taki sobie kłopot i zawadę w domu przysposabiasz!

— Słusznie mówił Wacio! — wzdychała ciężko hrabina, kładąc się dnia tego wieczorem na spoczynek. — Czy mnie też trzeba było tego wszystkiego?! Żeby to choć kiedy trafić na skromną, tuzinkową panienkę! Chętnie bym coś ze swojej strony dorzuciła do tego trochę, co matka dać może, i wyszła by za mąż za pierwszego lepszego!... Ale gdzież nawet myśleć o czemś podobnem u tej królewnej!...

— Czem tu się kłopotać! — zawołał Wacław rozentuzjazmowany, poznawszy raz wreszcie nową hrabiny córeczkę przybraną.— To Stwórcy arcydzieło! prawdziwa *Loreley*! Zaręczam, iż tego karnawału, zrobisz *furorę* z twoją „wyprzedażą“ mateczko!

— I cóż z tego?! Wiem, że będzie dużo tańczyła, usłyszy moc komplimentów, otoczy ją podczas sezonu balowego zgraja motylkowata adoratorów, w końcu zaś... do ołtarza nikt z panną ubogą nie pójdzie!

— Ha! ha! ha! Uwaga niezrównana! Zapewne, głowy mojej nie stawiał bym w zakład, czy Hela wróci do matki mężatką!... Prędzejbym się ofiarował przepowiedzieć, kto się z nią nie ożeni, niż...

— No! ty ma się rozumieć w pierwszej linji! Mój Boże! straciłam w ogóle nadzieję, żebyś kiedy się ożenił! Co do Heli, ta pewność mnie uszczęśliwia. Czyż to partja dla ciebie?! Uboga sanocka szlachcianeczka! do tego ojciec, jakiś hultaj od całego świata! Tobie potrzeba, ot! wdówki pięknej, bogatej, zręcznej...

— Gwałtu! ratunku! Co za straszna na przyszłość przepowiednia! Wdówki nie chcę mateczko droga pod żadnym, a żadnym warunkiem! Czy to nam źle razem matusiu?! — objął w pół matkę pieszczotliwie, usta pocałunkiem serdecznym zamykając.

— Jakże się pani teraz Kraków podoba? — spytał raz Helę. — Czy lepiej niż wówczas, gdyś na niego patrzała przez kraty i mury klasztorne?

— O! stokroć lepiej! — naiwnie zaręczyła. — Bale, teatr, koncerta, ciągle jakaś odmiana, jakieś niespodzianki, komuż by to mogło się nie podobać!

— Zapewne.... podoba się wszystkim, póki jest dla nich nowością.

— Czy i pan zaliczasz się do rzędu zblazowanych? Stan nader smutny zaiste, wtedy atoli możemy li na nas samych narzekać, nie zaś na nasze najbliższe otoczenie.

— Być może! — uśmiechnął się Wacław sarkastycznie — mnie jednak sąd pani tak ostry o przesyconych, wydaje się cokolwiek niesprawiedliwy. Czyż moja w tem wina, iż kółko, w którem się wiecznie muszę obracać, wydaje mi się *manężem*, gdzie dzień po dniu jedne i te same figury się pojawiają, z stereotypowym

uśmiechem, ukłonem, z tym samym nieledwie frazesem, z roku na rok się powtarzającym! Pani jesteś świeżym komparsem w tej trupie artystycznej, szych bierzesz jeszcze za szczere złoto, czcze i kłamliwe deklamacje za prawdę. Gdybyś musiała lat kilka wytrwać na stanowisku, tak samo nędznem i wstrętnem wydałoby ci się to wszystko, jak mnie obecnie!

— W takim razie — odparła rezolutnie — urządziłabym sobie cyrk inny, mniej monotonny, a więcej korzyści i przyjemności przynoszący.

— Przemawia iście po królewsku! — wzruszyła hrabina litościwie ramionami, prowadząc dalej rozmowę z jakąś poważną matroną, która przybyła do niej z wizytą. Do talentów specjalnych, matek tak rodzonych jak i pożyczanych, należy wzrok i słuch podwójny. Komu innemu w oczy patrząc, widzą z boku z kim się zabawia ich córeczka lub pupilka, tu z całem niby to zajęciem rozmawiają, a tam chwytają w powietrzu uchem bacznem każde słowo wymówione, każdy kompliment, do panienki wystosowany.

Hela mówiła dalej niezmięszana:

— Wyrażasz się panie Wacławie w tonie tak rozpaczliwego zwątpienia, jak gdybyś wypisał *nil admirari* na twojej chorągwi.

— Hrabia podziwia, jak i my wszyscy — zadeklamował z komicznym patosem książe Artur, który teraz bardzo często hrabinę odwidzał — gdy widzi przed sobą ziemskiego anioła, zasługującego na całe nasze uwielbienie!

Nie jednej pannie z wielkiego świata, serduszko o mało by z łona nie wyskoczyło, na kompliment tak dosadny, a wychodzący z ust umitrowanego kawalera, i w nagrodę obdarzyłaby księcia najsłodszym uśmiechem. Nasza atoli szlachcianka, wypatrzyła się na śmiałka ze zdziwieniem, jakby słów tych nie pojmowała, i groźnie brwi zmarszczyła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NIEBEZPIECZNA.

(Ciąg dalszy.)

Wzrok Raoula był wlepiony w miejsce, gdzie upadł bukiet od piersi Jenny Mouillard, obok porzuconej przez księżnę de Rouerge rękawiczki, przypominając wymownie zetknięcie ścisłe i poufałe, właścicielek tych przedmiotów. Wzrok ten musiał mieć wyraz dziwnie uderzający, skoro zrozumieli jego znaczenie, bez wysiłku i namysłu, obaj komisarze, i każdy z nich wytłumaczył go na swój sposób.

Leon przemówił niemal uroczyście:

— Cóż chcesz? To także rodzaj przysięgi ze strony naszych pań, na równość i braterstwo...

Maks wzruszył ramionami i mruknął z uśmiechem ironicznym:

— W mętnej wodzie łatwiej rybki łowić....

Przypływ gwałtowny publiczności rozdzielił rozmawiających. Leon spostrzegł cały ładunek krewniaczek młodych i nieszpetnych, które daremnie starała się osłonić skrzydłem opiekuńczem ciocia, staruszka sędziwa, a mająca wielki majątek do przekazania spadkobiercom dalszym, bo dzieci w życiu nie miała. Warto było potrudzić się trochę, aby zyskać jej łaskę. Leon rzucił się też z całą gorliwością krewnego kochającego, na ratunek tych owieczek rozpierzchających się na wsze strony. Maks został zareklamowanym przez Leę Touzin, której mała rączka, dotąd bez rękawiczki, wycisnęła na rękawie od fraka pięć białych znaczków. Damy prowadząc, powtarzali wszyscy słowa sakramentalne:

— Panowie! Ustąpcie się damom!... Miejsce dla dam panowie!...

Raoul de Frézel ujrzał się osamotnionym. Przyszła mu myśl zwidzieć kulisy.

Pokojowe sprzątały właśnie rozmaite przybory toaletowe. W minut kilka tak scena, jak i garderoba damska, były opróżnione. Została tylko atmosfera duszna, niezdrowa, przesiąknięta wyziewami silnemi perfum najrozmaitszych. Jak przedtem łączyły się w bratnim uścisku damy z wielkiego świata i damy zakulisowe, tak teraz walczyły o lepsze, odurzający odór piżma, opoponaksu, juchtu, z delikatniejszemi woniami, rezedy, werweny i fiołków. Raoul, przewidując wraz z towarzyszami wieczór nader pracowity, nie zaniedbywał podjeść dobrze na objad, skrapiając każdą potrawę mnogiemi libacjami. Przy deserze, ma się rozumieć, szampan popłynął strumieniem. Dotąd trzymał się dobrze, czuł tylko pewną ekscytację w nerwach. Jest to stan dziwny, między snem a jawą, nader niebezpieczny; najłatwiej wtedy popełnić szaleństwo, a nie można czynu zaprzeć, skoro się go pamięta i było się wtedy jeszcze poczytalnym. Wonie pozostawione przez aktorki prawdziwe i na ten wieczór z najwyższych sfer zrekrutowane, uderzyły mu do głowy i do reszty upoiły. Rzucił się ku małym drzwiczkom, prowadzącym na korytarz. Obwiało go świeższe i zdrowsze powietrze.

— Ah! jaki ten chłód przyjemny, orzeźwiający! — zawołał odetchnąwszy całą piersią i oparł się o ścianę, aby zawrót głowy opanować.

W tej chwili usłyszał szelest sukni jedwabnej i cień jakiś przesunął się wzdłuż korytarza. Instynktem wiedziony, puścił się w pogoń i zatrzymał się dopiero w rodzaju przedpokoju ośmiokątnego, którym kończył się korytarz i gdzie schodziło się drzwi czworo jak promienie gwiazdy rozstrzelonych.

— Pan daruje!... — odezwał się głos melodyjny w tonach niskich, kontraltowych. — Które z tych wyjść prowadzi na bulwary?

Raoul stanął osłupiały, nie znajdując na razie odpowiedzi. Dama, którą dopędził, zwróciła się ku niemu

ruchem pełnym gracji, oblana światłem trochę przyćmionem rewerberu gazowego, wpadającem w kolor niebieskawy. Płaszczyk biały, atłasowy, puszkiem łabędzim obszyty, zsunął się z ramion, odsłaniając piękność odurzającą, zuchwałą niemal w swoim spokojnym majestacie, a podniesioną jeszcze strojem przecudownym, w najlepszym guście, uderzającym również brakiem barw jaskrawych i prostotą połączoną z najwyższą elegancją.

Suknia z białego ciężkiego brokatu, ugarnirowana pysznemi białemi koronkami, połyskiwała mieniąc się, niby światło w opalu. Przód stanika był cały szyty perłami prawdziwemi; perły ogromne, wody nadzwyczajnej, zdobiły szyję i ręce. U gorsu tkwiły dwie białe kamelje; takież same kwiaty, wpięte artystycznie w pukle jak heban czarne, prześlicznie od tychże połysku odbijały matową swoją białością. Puszek łabędzi okalał ramiona okrągłe, spadziste, nie zdając się tychże dotykać, niby mleczna droga, przez którą błękit nieba przeziera. Po pod skórką tychże delikatną i aksamitną, czuło się krew falującą, krew płomienistą, różowym odblaskiem ciało ożywiającą. Z pod chusteczki białej, koronkowej, niedbale na głowę zarzuconej, świeciły oczy duże, siwe, o spojrzeniu bystrem i jak ostrze stali na wskroś przenikającem; na ustach pełnych, purpurowych, na pół otwartych, igrał uśmiech smętny i szyderski jednocześnie; podbródek był lekko zaokrąglony z dołeczkiem pośrodku, jakie spotykamy na portretach z wieku XVIII. Raoul jednym rzutem oka objął i ocenił te wszystkie szczegóły. Młoda kobieta nie przestając się uśmiechać, powtórzyła pytanie poprzednie.

— Proszę darować, iż trudzę pana... Jesteś jednym z komisarzy, ile mi się zdaje... Którędy mam wyjść na bulwary? Moja służba ma tam na mnie czekać... Na ulicy trudno będzie przepchać się przez tłumy... Myślałam, iż lepiej znam miejscowość... tymczasem zabłądziłam i trafić do drzwi właściwych nie mogę...

— Racz pani przyjąć moje ramię...

Skinęła głową przyzwalająco. Jedną rękę wsunęła pod ramię Raoula, drugą poprawiła zarzutkę. Wygięła w tył ramię, odsłaniając gors pełny, prześliczny, o konturach miękkich, niezrównanych. Uczuł roskosz niepojętą, obok męki piekielnej. Gdy nieznajoma przemawiała do niego przed chwilą głosem dźwięcznym, rozlegającym się donośnie po pustym przedpokoju, zdawało mu się, iż każda zgłoska uderza o jego mózg podniecony, niby młotek srebrny o naczynie z kryształu. Czuł to dźwięczenie, przenikające go do głębi, wstrząsające nerwami, jakby prąd elektryczny. Ten magnetyzm, opanowujący go despotycznie, ten czar wewnętrzny, zmieniał się teraz w uczucie milsze i łagodniejsze.

Odczuwał ciepło jej piersi, słyszał przy każdem jej poruszeniu cichy szmer pereł i szelest łechcący jedwabiu; woń odurzająca biła z włosów i z ramion młodej kobiety, obejmując ich dwoje niby w koło zaczarowane. Upojenie Raoula wracało z siłą zdwojoną przez wszystkie wrażenia gwałtowne, które spadły na niego tego wieczora. Usta paliła mu gorączka. Ośmielił się spojrzeć w jej oczy. Drgnęła i ustami lekko poruszyła, jakby mówić chciała... chwilę przelotną patrzyli na siebie... wreszcie młoda kobieta uwolniła ruchem szybkim rękę z pod ramienia Raoula i otworzyła drzwi na bulwary prowadzące.

— Dzięki stokrotne!... Wróć pan do innych obowiązków... Powóz mój czeka zapewne...

W istocie, w pośród gęstej mgły, okrywającej trotoar bulwaru „Kapucynów,“ widać było dwie latarnie blado świecące, niby smutne gwiazdy, krepą żałobną osłonięte. Raoul nie dał jednak za wygranę i nie chciał tak prędko opuścić nieznajomej.

Lokaj zapewne, z powodu ciemności jakie tu panowały, stał koniom w głowach. Była to sposobność jedyna, otworzenia drzwiczek u pięknej, prawdziwie pańskiej karety i dopomożenia damie nieznajomej przy wsiadaniu.

Z głową odkrytą, w stroju balowym, wymaganym przez komitet urządzający, Raoul zszedł na trotoar wilgotny, uwięziwszy napowrót małą, pulchną rączkę nieznajomej i tulił ją do piersi nie tylko ramieniem, ale i dłonią. Nie czuł zimna, ani mgły wilgocią przenikającej. Oczy i usta ogniem mu pałały. Młoda kobieta rzuciła niedbale rozkaz nadbiegającemu liberzyście:

— Do domu!

Dreszcz ją przeszedł, wcisnęła się szybko w miękkie białe, aksamitne poduszki karety, wyglądające tak puszysto, jakby świeżym śniegiem je posypano i zwracając się po raz ostatni z uśmiechem do swojego *cavaliere servente*:

— Doprawdy panie, nadużywam...

Podała mu rękę po angielsku. Nachylił się, przytknął usta rozpalone powyżej rękawiczki, do ramienia jak z marmuru utoczonego i nagle:

— Jesteś najpiękniejszą między pięknemi!... kocham cię! — szepnął głucho.

Konie z miejsca ruszyły. Raoul miał zaledwie tyle czasu, aby na bok uskoczyć. Za chwilę później był znowu w sali jadalnej klubu, gdzie komisarze dzisiejsi jedli w kółku najściślejszem.

Na ulicach przyległych ruch ustawał i coraz ciszej się robiło. Maks skinął na wchodzącego.

— Chodź no tu Frézel!... posłuchaj Leona!... jest dzisiaj niezrównany!... prawi nam o moralności w tonie cynizmu wstrętnego, oburzającego... Jaka własna jego moralność, takiem i kazanie!...

Młody komisarz stał się w rzeczy samej rozrzewniająco-lirycznym. Ciął tyradę niesłychanie budującą o zlaniu się dwóch ras odrębnych.

— Precz ze skrupułami, precz z przesądami!... Nie ma więcej świata, ni pół światka, panowie!... Nie ma zup *á la Reine*, *á la Julienne* i tem podobnie.. jedna ciemna, spartańska polewka... Fasolkę tyczną i pieszą,

groszek zielony i młody, stary i pomarszczony... zwierzynkę o delikatnym zapaszku arystokratycznym, i pożywniejszą od niej prostą wołowinkę... wszystko pochłonie „Mięszanina“!.. Denstować razem w kotle, na wolnym ogniu... i podać na gorąco... Kto ze mną?... piję zdrowie „Mięszaniny“!...

— A ja zdrowie kobiet uczciwych!

To Raoul przemówił... Dumnie wyprostowany, podnosił czarkę z szampanem z miną wyzywającą. Nikt z pijących nie miał jednak ochoty czuć się obrażonym. Wszyscy śmiechem parsknęli. Maks pierwszy przemówił:

— Kobiet uczciwych?... Skąd przybywasz Raoulciu kochanie?... Gdzież to się gnieżdżą te twoje kobiety uczciwe?!...

— Widziałem dwie dzisiaj... dwa anioły!

Maks porządnie cięty, potrząsł głową z czułą pobłażliwością pijanych w obec zakochanych.

— Aha!... rozumiem!... Dwa aniołki... czyli wzięto cię we dwa ognie!... Złapały chłopca nareszcie!... i to podwójnie od razu!... Ha! ha! ha!...

Zaśmiał się ironicznie, patrząc w oczy Raoulowi, który spłonął gniewem i usta drżące zagryzał, z widoczną chęcią szukania z kimkolwiek zaczepki.

— Tylko spokojnie kochasiu!... Czem się tu irytować?!.. Wszakżeśmy sami swoi... Trzeba być Eklektykiem na tym świecie... z różnych garnków kosztować... Wolno ci spełnić twój toast... Hej! wy reszta!... Zdrowie miłostek! Zdrowie mięszaniny!...

Wszyscy powstali z miłą gotowością ludzi w pierwszem stadjum upojenia, kiedy umysł tonie w bezdennej roskoszy i swobodnej wesołości, kiedy nie całkiem już poczytalny, patrzy na wszystko i wszystkich przez szkła różowe. Odpowiedzieli zgodnym chórem szklanki do dna wychyliwszy i łącząc w jeden dwa toasty zaproponowane:

— Zdrowie mięszaniny w miłostkach!

II.

POSZUKIWANIA.

Zakochanym?... Raoul uważał to za niemożebne! Było w ogóle nader wątpliwem, czy młody komisarz towarzystwa dobroczynności wierzył w miłość. Miał na tym punkcie sposób zapatrywania się nader praktyczny i lubił z częsta powtarzać:

— Na tym tu świecie wierzę li w to, czego się dotknąć mogę i co wchodzi w zakres rzeczywistości; reszta to ładne bajeczki, fantazje, urojenia w chmurach zawieszone. Kobiety to rzeczywistość, wierzę zatem w kobiety. Miłość to coś nieuchwytnego, jak lazur nieba, jak gwiazdki po nim rozsiane. Trzebaby wsiąść chyba do balonu, aby to coś gonić po nad chmurami.

Postanowieniem zaś stałem Raoula de Frézel było, nie wsiadać do balonu, nie awanturować się w sfery ideału, po nad chmurami zawieszone. Młodość przeczy częstokroć temu, w co wiek dojrzały zaczyna wierzyć uparcie, a czem starość upaja się nieraz do szału. Musimy dodać, iż Raoul nie darmo tak się lękał wszelkich fantazji i urojeń, nie darmo polubił życie najcodzienniejsze, którego roskosze pospolite wypija się spokojnie w pewnych godzinach, w małych dawkach, jak lekarstwo. Zaledwie pamiętał matkę, z domu margrabiankę d'Orsel, urodzoną pomiędzy górami. Była to istota blada, wiotka, poetyczna, która przyszła na świat za późno. Umarła w roku 1865, młodą jeszcze, wskutek przeziębienia w parku otaczającym zamek Frézel, przy czytaniu nad stawem pełnym wilgoci, oblana mdłem światłem księżycowem, Medytacji Lamartina. Ta lektura, odbywana pod tak nieszczęśliwemi warunkami hygienicznemi, a która nie byłaby sprowadziła kataru najlżejszego damie z czasów Restauracji, nabawiła baronowę de Frézel, należącą do epoki drugiego cesarstwa, śmiertelnym płuc tyfusem. Pokazuje się, iż we wszystkiem najlepiej się trzymać mody.

W świecie, do którego należała baronowa, zapewniano, iż biedaczka miała ważne powody, do pogrążenia się z ciałem i duszą w mistycyzmie chorobliwym Lamartina.

Dla kobiety uczciwej, która czuje w sobie porywy młodości, a ma nieszczęście posiadać męża astronoma i meteorologa, poezja liryczna jest jeszcze najpewniejszem schronieniem; trzeba tylko pamiętać o ciepłej zarzutce podczas chłodnych wieczorów, i deklamować chodząco, nie zaś siadać nad stawem, na mokrej trawie, przy bladym i bynajmniej nie grzejącym blasku księżycowym. Pan de Frézel kochał się namiętnie w naukach ścisłych. Dawny akademik z politechniki, później oficer artylerji, którą wkrótce porzucił dla braku odpowiednich zdolności, ożenił się z panną d'Orsel, której zamek graniczył z miasteczkiem, gdzie stał na ostatku pułk jego, i której majątek jak i stanowisko zadawalniało go zupełnie. Skoro się ożenił i ujrzał ojcem, nabił sobie głowę meteorologją, jako gałęzią naukową mało dotąd eksploatowaną, a w której miał nadzieję niepłonną na całą kulę ziemską zasłynąć. Na wszystkich szczytach gór jakokolwiek dostępnych i któremi wolno mu było dysponować, budował małe obserwatorja, kładąc napis na każdem: „Obserwatorjum Frézel.“ Tym sposobem mógł badać niebo i zjawiska atmosferyczne na punktach rozmaitych i w kierunku dowolnym.

Meteorologja jest nader piękną nauką, tylko nie bardzo wygodną w domowem pożyciu; kto się wiecznie błąka od jednego szczytu góry do drugiego, nie częstym bywa gościem u domowego ogniska. Pani de Frézel sp[illegible]trzegła to niebawem. Dziecię jedyne było jeszcz[illegible] małem, żeby zająć czas jej wyłącznie. Kobieta zasad mniej stałych, byłaby się po prostu oglądnęła za kochankiem. Ona zadowolniła się „Jeziorem“ Lamartina.

Skoro ujrzał się wdowcem, pan de Frézel wziął się do wykonania nie lada projektu, który dawno już świ-

tał mu w głowie, a tylko wzgląd na żonę i jej perswazje delikatne, wstrzymywały go dotąd. Wybrał sobie w Pirenejach górę najwyższą, nie napadaną przez turystów, jako tako dostępną, i tam z kosztem i trudem niesłychanym, kazał budować obserwatorjum jak dom obszerne i okazałe. Trzy lata stawiano budynek. Pan Frézel ogłosił wreszcie światu zdumionemu, iż tam myśli przez zimę zamieszkać, sprowadziwszy wpierw zapasy żywności nieodzowne i potrzebne do odkryć rozmaitych instrumenta. Teraz sława nieśmiertelna nie ucieknie mu z pewnością! Wszak ją trzymał oburącz za poły! Zanim atoli śniegi stajały, dowiedziano się z przerażeniem, że orkan straszliwy zburzył obserwatorjum, grzebiąc pana de Frézel pod tegoż szczątkami.

Raoul miał lat dwanaście i kończył czwartą klasę w małem kollegjum OO. Augustynów, gdy dowiedział się o swojem zupełnem sieroctwie.

O smutnych szczegółach tych dwóch wypadków tragicznych, usłyszał dopiero w sześć lat później, gdy brat starszy ojca i jego opiekun naturalny, uznał za stosowne zdać mu rachunki z opieki i wcielić go niejako w przeszłość nieznaną. Pozornie okazał jak mógł najmniej rozrzewnienia i smutku. Nie znał prawie rodziców, którzy za życia wcale się o niego nie troszczyli. Opowiadanie stryja, musiało mu jednak zostawić w sercu i w umyśle wrażenie głębokie i niezatarte, skoro od tej chwili stał się wrogiem nieprzejednanym wszelkich fantazji i marzeń chorobliwych.

Widocznie wyciągnął taki sens moralny z wypadków, które go tak wcześnie osierociły: iż trzeba się strzedz przechadzek sentymentalnych przy blasku księżyca, jak również wycieczek pod niebo, o cztery tysiące metrów po nad poziom życia domowego, codziennego. Stryj poczciwy wziął się szczerze do uporządkowania jego interesów — ojciec w gwiazdy zapatrzony, nie mógł przecie myśleć o sprawach tak pospolitych. — Dzięki jego staraniom i kilku szczęśliwym spekulacjom, gdy Raoul doszedł do wieloletności, ujrzał się bogatym i niezależnym. Miał przed oczami stryja bezżenność, która wypełniła mu życie całe przyjemniej w końcu, jeżeli nie pożyteczniej, niż niejednemu stan małżeński. Wyrobił więc w sobie powoli pewien Epikureizm spokojny; przecząc miłości, nie odmawiając jednak kobietom przymiotów życie uweselających, kaprysy swoje przelotne umieszczał tak, jak się umieszcza kapitały, gdy się nie wie co z niemi począć, na drugą i trzecią hypotekę. Ztąd płynęła owa pozorna nieczułość, o którą oskarżali go Maks i Leon przed stryjem. Do lat blisko trzydziestu, Raoul nie mógł by był sobie przypomnieć jednej chwili uniesienia, któreby głębi aż do serca sięgnęło. Dotąd zmysły i nerwy tylko .. nim grały, o uczuciu prawdziwem mowy nie było.

Temi to uwagami był nazajutrz po wencie umysł jego zajęty, gdy przechodził w myśli wszystkie stacje i wypadki tego wieczora. Powtórzył sobie w duchu słowa Maksa: „Zakochany podwójnie!...“ To nie... tylko zaciekawiony.

Uderzył go uśmieszek figlarny Matyldy, zdradzający niemal rodzaj porozumienia, którym odpowiedziała na jego rumieniec, wywołany brutalnym stryja wykrzyknikiem: „wybieraj!“ Ta dzieweczka, świeżo wyrwawszy się z pod rygoru klasztornego, nie była wcale pierwszą lepszą pensjonarką. Odkrywał w niej nawet pewien szyk pieprzykowaty, prawdziwie paryskiej Paryżanki, pomimo gracji i ułożenia czysto arystokratycznego, którem jej osóbka zdawała się na wskróś przesiąknięta, jak kielich wiotkiej lilji wonią odurzającą. Był to istotnie kwiat rzadki, na który dwa wielkie rody złożyły się, dwie odrębne rasy uzupełniły. Ojca ród starożytny, wykołysały fale oceanu, rozbijające się o brzegi skaliste Normandji, gdzie zamek jego od wieków stawił śmiało czoło granitowe, wyzywając do walki i zwyciężając huragany; matki ród nie mniej świetny, pochodził z Prowancji. Była to H y b r y d a z wdziękiem niewinnym polnej różyczki, a olśniewająca blaskiem niezwykłej urody, jak pyszna mórz królowa V i c t o r i a R e g i a.

W każdym razie zajął go ten cudny kwiatek, jako studjum, choćby nie miał na razie ochoty do zerwania. Od czasu do czasu pojawiała mu się ta postać urocza wśród błyskotliwych kiosku dekoracji, ta twarzyczka o profilu regularnym i jakby wyciętym z kamei starożytnej. Był to jednak tylko cień przelotny w obec piękności tajemniczej, która opanowała despotycznie wszelkie jego władze umysłowe, której perły dotąd łechtały cichym szmerem jego ucho, której spokojnego majestatu nie mógł ani na chwilę pozbyć się z pamięci.

To wspomienie górowało nad wszystkiem innem, i Raoul nie mógł tego zataić przed samym sobą. Czuł, że tam go ciągnie jakaś dziwna siła niewidzialna. O jedenastej z rana był już zupełnie ubrany. Miał dwie drogi przed sobą, pójść na śniadanie do stryja i tam pozbierać więcej jeszcze szczegółów o jasnowłosej Matyldzie, lub udać się do klubu, aby rozpocząć śledztwo co do brunetki nieznajomej. Poszedł do klubu. Zawahał się u drzwi samych i wszedł na salę w najgorszym humorze. Był-że to kaprys przelotny? czy też nie mógł się oprzeć obłędowi? Nie umiał sam na to pytanie odpowiedzieć, zdawało mu się jednak, iż to raczej obłęd chwilowy, niż zajęcie się szczere. Pomyślał o buncie przeciw tej władzy, opanowującej go mimowoli i mruknął przez zęby zaciśnięte:

— Koniec końców przyszedłem na śniadanie... Zjem więc... i nic więcej!...

Trafił na wyprzątywanie sali z wczorajszych przyborów. W kioskach wypróżnionych ustawiano stoliczki i krzesła dla gości. Woń goździków przenikała dotąd ściany kiosku, do którego Raoula zaproszono. Uśmiechnął się, podnosząc z dywanu, którym posadzkę zaścielono, goździk ponsowy, na pół zwiędły, pominięty przez szczotkę zamiatających. Miał więc jeść śniada-

nie na tem samem miejscu, gdzie panna de Gouix wczoraj wieczór kwiaty sprzedawała.

— Hm! hm! — szepnął — gdybym tak był zabobonnym!...

Wkrótce jednak wrócił mu zły humor. Jakby na złość prześladowały go szczegóły wczorajszych wypadków, przypominając mu gwałtem to, o czem rad by był zapomnieć.

I w tym kiosku nawet, gdzieby powinna była unosić się nad nim postać jasnowłosa, sprzedająca goździki, myśl jego zwracała się wyłącznie do owej pięknej nieznajomej, którą konie tak szybko z przed oczu jego uniosły. Ruch wozów, zabierających całe zwoje draperji i ławki aksamitne, nie był tak bardzo zajmującym. Zły, rozdrażniony, wypił jednym tchem podaną herbatę, i zdecydował się wreszcie skinąć na zawiadowcę klubu.

— Nie uważałeś pan damy w sukni z brokatu białego... stanik był szyty perłami... u gorsu i na głowie białe kamelje?... Musiała być między widzami podczas przedstawienia... Chciałbym wiedzieć jej nazwisko...

Zawiadowca skłonił się nisko i rozstawił ręce jak ktoś, który nie wie o niczem.

— Nie mogę sobie przypomnieć panie baronie... Pan baron wie jakim sposobem bilety rozdawano... każdy z komisarzów brał ile chciał...

— A gdyby tych panów zapytać?...

— Wątpię, żeby to się na co przydać mogło... Komisarze sami nie znali ani połowy tych osób, które wchodziły... Za jednym biletem zresztą szły całe rodziny... Ponieważ chciano zebrać jak najwięcej pieniędzy, komitet upoważnił...

— Dziękuję!

Zawiadowca odszedł... Raoul uczuł całą śmieszność zapytania. W pośród śmiecia nagromadzonego, tak samo z trudnością odszukuje się spinkę z brylantów, jak i prostą szpilkę mosiężną. A wczorajsze towarzystwo, pod pozorem celów dobroczynnych, było straszliwą zbieraniną!...

Co za głupia myśl, interpelować pospolitego rządcę, czy uważał wśród tysiąca innych, specjalny stanik szyty perłami, i parę oczu o stali połysku!... Więc ten obłęd szalony spowodował Raoula do kroku nierozważnego, który go niemal upokarzał w obec osoby podrzędnej.

Niemiłe wrażenie prędko przeminęło. Fiksacje mają to do siebie, iż znieczulają władze umysłowe na wszystko leżące po za ich obrębem. Skoro uznał niemożność odszukania nieznajomej w klubie samym, przeniósł się myślą w inną stronę. Przypomniał sobie szczegółowo całe spotkanie, minę pańską tej, którą gonił, jej chód lekki, elastyczny, wytworną skromność jej toalety, brak zupełny barw jaskrawych, tak ulubionych przez kokotki.

Nie była widocznie ani aktorką, ani damą z Demi-Monde'u. Mówiła akcentem czystym, spokojnie, powoli, jak prawdziwa arystokratka, która nigdy w życiu spieszyć się nie potrzebuje, gdyż jest przyzwyczajoną, iż wszystko i wszyscy na nią czekają. Musi należeć zatem do sfer wyższych, i na tem polu szukać jej wypada.

Tego samego wieczora Raoul był w Wielkiej Operze. Kwiatów egzotycznych szukać wypada po wielkich cieplarniach, a kobiet światowych w ramach odpowiednich loży, w teatrach wielkich i wspaniałych. Przedtem zwidził brzegi Stawku, różnobarwnem kwieciem umajone, i aleję akacjową, przepełnioną jeszcze bardziej. Z tej pierwszej włóczęgi wyniósł tylko silny ból głowy, i jakiś chaos przed oczyma, złożony z kapeluszy najdziwaczniejszych, z piór olbrzymich, powiewających jak chorągwie, z futer niewidzianych i z nosów zaczerwienionych od zimnego wiatru północnego, jednem słowem, wrócił okropnie rozczarowany.

Czy podobna, iż przez lat tyle tak źle widział, a raczej podziwiał z taką dziecinną naiwnością, piękności pojawiające się stale w lasku Bulońskim? To więc miał być ów zastęp nieśmiertelny? owe kobiety opiewane przez ogół, jako typy klasyczne, których czoła opromieniała sława pierwszych paryskich elegantek? Te postacie, które wczoraj jeszcze stanowiły rodzaj aeropagu estetycznego w jego wyobrażeniach, dziś wydały mu się wobec żywego wspomnienia o nieznajomej, brzydkie, zwiędłe, z całą siecią zmarszczków źle ukrytych, pod grubą warstwą kosmetyków białych i różowych. Brała go ochota porównać je do jabłek pomarszczonych, które by chciały udawać świeże, puszyste brzoskwinie.

Baronowa de Tolly, jenerałowa de Beauvillet, hrabina de Valtonés i wiele innych, wymienianych przez kronikę codzienną, wydały mu się teraz szanownemi staruszkami. Co do emancypowanych, te wyglądały jeszcze gorzej. Jakieś zmięte, wyblakowane, zmęczone, nakazujące litość i poszanowanie dla wieku... bez szacunku dla osoby.

Jak też mógł dać się omamić temi ruinami wytynkowanemi, których ząb czasu bynajmnej nie oszczędzał? Zapominał, dziwiąc się własnej ślepocie, iż między wczoraj a dziś, przeszło zjawisko, spotkane na korytarzu w klubie. Umysł ludzki, podobny do urządzających strzelnice. Aby zwabić gości, sami rozbijają kulami lalki za cel służące. Zwykle na ołtarzu bóstwa nowego, składamy w ofierze dawniejsze ułudy, dawniejsze nasze ideały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.